

Zapalił stoczek. Widok bogatej komnaty, obitej wspaniałą materią, zapełnionej zagranicznymi meblami, olśnił go w pierwszej chwili. Na marmurowym, monumentalnym kominie, stoją świecące się kandelabry brązowe; na etażerkach statuetki z kości słoniowej, oraz rozmaite srebrne i włoskie figurki renesansowe; w szafach oszklonych, o pułkach pochyłych, wysłanych purpurowym aksamitem — medale i monety starożytne.

— Widzisz! widzisz!... to wszystko nasze... Bierż! porywaj!

Lecz Janek nie śmie nic ruszyć. Więc Czupiradło sam chwytą, co cenniejsze mu się wydaje, i napełnia drobnymi, lecz drogimi przedmiotami kieszenie chłopca.

Nagle rozlega się głuchy, niewyraźny, oddalony odgłos kroków... Potem dźwięk mowy ludzkiej tętni wśród komnat złowrogo.

— Czy słyszysz? — szepcze złodziej, gasząc stoczek.

Dzieciak trzęsie się ze strachu, szczękając zębami.

— O mój Boże! mój Boże! chciałbym uciec... wydostać się z tego domu... Ktoś tu idzie... za moment nadejdzie...

Ogląda się i spostrzega, że jest sam. Czupiradło w jednym mgnieniu oka ulotnił się niespodzianie. Chłopak pragnie uciec także, lecz po ciemku do drzwi trafić nie może. Rozbija się i rzuca w różne strony; wreszcie z siły wyczerpany, pada zemdłony za firanką, zwieszającą się od stropu do dywanu. Ta firanka i meble, stojące w pobliżu, zasłaniają zupełnie nieruchome ciało Janka, leżące w zagłębieniu framugi, obramiającej jedno z okien komnaty.

Nagle uchyla się kotara w głębi. Podwoje, dotąd zakryte, otwierają się szeroko. Wchodzi niemi kobieta młoda i piękna; za nią mężczyzna młody i piękny, trzymając zapaloną lampę w ręku. Blask z niej oświeca znaną nam pracownię hrabiego Jelskiego.

— Marcelina — bo czytelnik domyślił się już pewno, że to ona z Kazimierzem Molskim weszła do gabinetu nieboszczyka męża — usiadła na jednym z krzeseł i oczy zakryła rękami. Kilka minut upłynęło zanim podniosła głowę i przemówiła zdławionym głosem:

— Powiadam ci, że sznur jedwabny, którym opasywałam się zwykle, tu tylko być może. Nie wyjdę z tego domu, dopóki go nie znajdę.

— Sznur skradziono, powtarzam. Skradł go ktoś, znający naszą zbrodnię...

— Nie, Kazimierzu... nie! Nikt skraść nie mógł! Znajdziemy go tu... może w buduarze, albo w sypialni. Jasnowidząca mi powiedziała, że w tym pałacu pozostał.

— Jasnowidząca!... I ty... ty, dajesz wiarę jakimś oszustce z pod ciemnej gwiazdy, która cię wyzyскуje? Ależ to doprawdy śmieszne! O, droga moja, nie jesteś już osobą rozsądną, jaką byłaś niegdyś. Tak straszliwie zmieniłaś się pod każdym względem, że wydajesz mi się zupełnie niepodobną do dawnej Marceliny. Nie śmiesz w dzień wychodzić ze swego mieszkania, przy ulicy Wiejskiej, bo przekonana jesteś, że każdy z lic twoich czyta straszną tajemnicę, jak głąz ciężącą na życiu naszym. Wszystko w tobie uległo przemianie; nawet wyraz twojego wzroku odmienił się bezwzględnie. Zamiast dumy i uporu, oczy twoje płoną teraz szaleń i obawą... która sprawia, że drżysz nieustannie.

Hrabina nie zaprzeczała.

Cicha i milcząca, zdawała się być pogrążona w jakimś śnie, czy marzeniu tragicznym, narzuconem jej wyobraźni przez nadprzyrodzoną siłę.

— Miłość moja, już nie łagodzi zgrzyzot, szarpających twojem łonem i nawet na chwilę cię nie uspokaja — mówił Molski dalej, pochylając się nad kochanką i dotykając wargami jej włosów. — Zapomnieliśmy niemal, żeśmy się niegdyś kochali, bo, przynajmniej, lękamy się niekiedy siebie samych wzajemnie... lękamy się cieni własnych...

— Och, Kazimierzu!... Kazimierzu!

— Tak, tak!... Lękasz się, żebym się nie wygadał... żebym się nie przyznał do zbrodni. Obawiasz się sądu i wyroku, a ten przestрах jest stąd daleko... daleko i nigdy do kraju nie wrócić. I ja nosiłem się długo z myślą ucieczki, a jeśli dotąd nie wyjechał z Warszawy, to tylko dla tego, że musiałbym opuścić na zawsze najdroższe mi dwie istoty... ojca i siostrę!

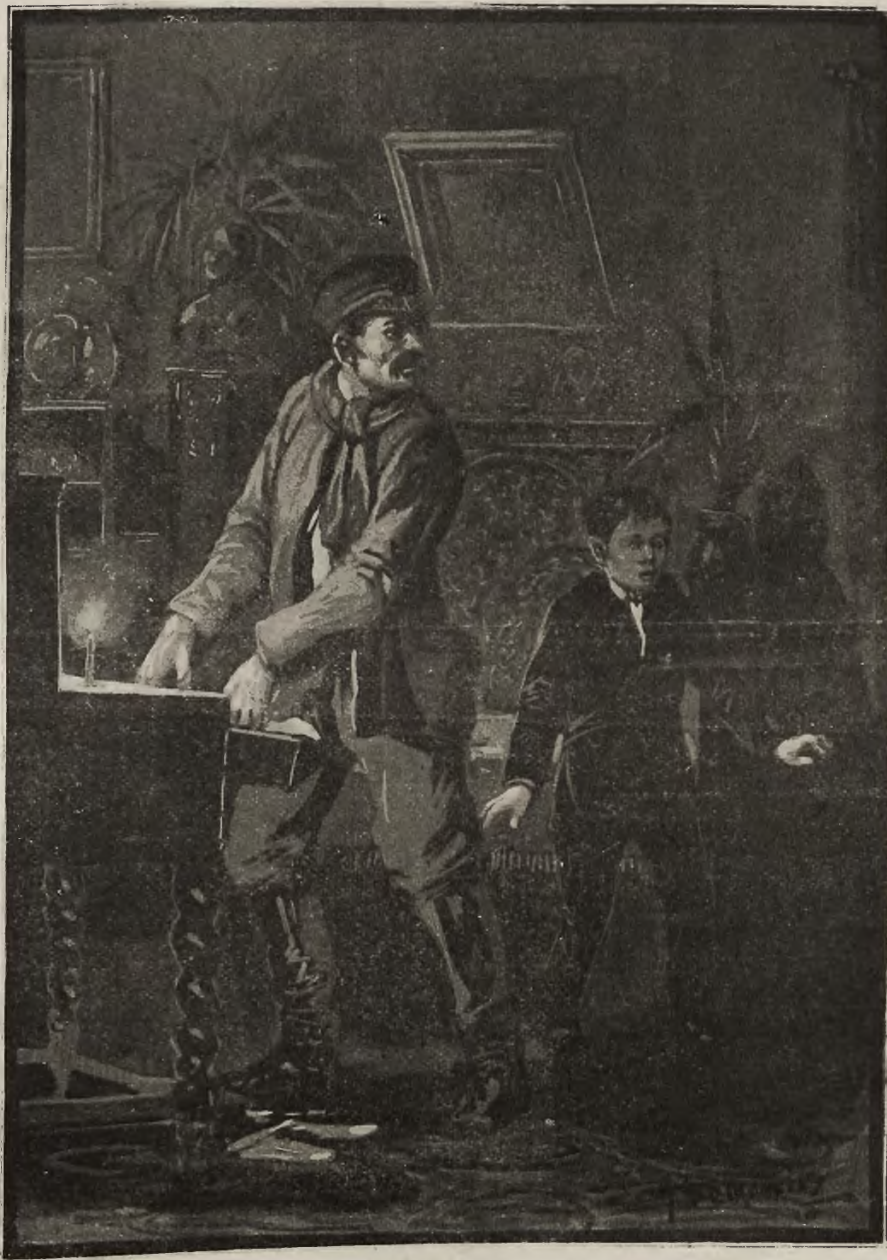
— O, ja nie żałowałabym nikogo — rzekła Marcelina, uśmiechając się gorzko. Jestem obecnie sama jedna na świecie... osamotniona zupełnie. Siostrą, którą kochałam, przed laty, znikła gdzieś bez śladu. Syna jej nie wolno mi widywać. Mia-

łam dziecię ubóstwiane... Gdybym je miała przy sobie, mogłabym miłością dla niego wypełnić całe życie... niestety! dziecko to wykradziono... odszukać go nie mogę... i myślę nieraz z rozpaczą w sercu, że może go nigdy nie znajdę...

Zamilkła, pochylając głowę na piersi. Łzy trysły z jej oczu.

Kazimierz zbliżył się do wzruszonej, ukląkł przed nią i ujął jej rączki w swoje dłonie.

— Chodźmy stąd... zaklinam cię, chodźmy stąd... i nie wracajmy tu nigdy. Dla czego powracasz do tego przekłętą domu... do tego przekłętą pokój, z którym łączą się tak groźne dla nas wspomnienia? Nie znajdziesz tu sznura, którym się opasywałam, bo ja sam... pamiętam to niezawodnie... włożyłem go do komody w twojej sypialni. Przecie wiesz, że już szukaliśmy go tutaj nieraz... Pewny jestem, że go ktoś skraść musiał, a nędznik posiadający go obecnie, czeka cierpliwie na dogodną chwilę wyzyskania nas. Nie należy jednak rzeczy brać zbyt tragicznie. Za kilka tysięcy rubli sznur wykupię niezawodnie, a wtedy odzyskasz względny przynajmniej spokój.



Nagle rozlega się głuchy, niewyraźny oddalony odgłos kroków...

— Tylko służba pałacowa miała wstęp do mego buduaru i sypialni — zawołała Marcelina, przechodząc nagle z stanu biernej apatii do gwałtownego uniesienia — lecz czy podobna odgadnąć która, lub który, z dawnych sług moich, sznur sobie przywłaszczył?

— Selim? murzyn.

— Selim?

— Tak, Selim!... jedyny, którego nie odprawiłaś. Czytam to codziennie w jego oczach. On, jak jastrząb wróbla, trzyma nas w szponach swoich... Tylko on wydać nas może...

Marcelina rozśmiała się szyderczo, a w głośnym jej śmiechu tętnił szal, gniew i groźba.

— Jeśli tak jest, dla czego go nie zabijesz?... Zamorduj świadka naszej zbrodni!... Jeśli mnie tak mocno kochasz, jak to mówiłeś nieraz, usuń z mojej drogi strasznego człowieka, uwolnij mnie od niego raz na zawsze... Ach! zdajesz się nie pojmować dla czego obłąd chwytą się mojej biednej głowy. Słuchaj, ja się boję... boję... boję! Dla tego przychodzę tu po nocach, potajemnie, skrycie... dla tego szukam sznura... i listów, w których namiętnymi wyrazami przyrzekasz, że, gdy owdowieje,

zaraz mnie poślubisz. Tych listów dotąd także nie znalazłam... Domyślałam się, że ręka, która sznur skradła i listy skraść musiała. Oskarżają cię one... Ujawnienie ich zgubić cię może... A ty, pomimo to, pozwalasz, aby człowiek, który je posiada, żył blisko nas i chodził swobodnie po świecie!

Kazimierz wstrząsnął się cały. W spojrzeniu jego malowała się złość i oburzenie.

— Nic prostszego, jak zapłacić tego człowieka aby milczał... zapłacić z milionów, które ukradłaś tu z tej kryjówki... bo ja zabić go nie chcę... Nie, tego nigdy nie uczynię. Wyzwać na pojedynek nie mogę, podstępnie zaś nie targnę się na niczyje życie!

— Ty mnie już nie kochasz! — krzyknęła hrabina.

— Kocham cię, jak dawniej.

— Kłamiesz!

— Każde twe zachcenie jest dla mnie rozkazem. Czy nie co noc prawie przychodzę tu z tobą szukać domniemyanych świadectw naszej zbrodni? Czy nie jestem ciągle dalej współnikiem każdego twego czynu, dobrego, czy złego? A ty mówisz, że cię nie kocham!

— Nie, nie! Miłość twoja nie jest tak silna, jak niegdyś.

— Nie mów tego. Wiesz, że zawładnęłaś całym moim sercem, że dla ciebie wyrzekłem się niemal rodziny, że nie widuję się z ukochaną siostrą, że zdeptałem wszystkie ludzkie uczucia, prócz jednego, które mnie z tobą wiąże. Kocham cię... kocham dotąd namiętnie... lecz rozbójnikiem, skrycie dybiącym na życie ludzkie, nie stanę się nigdy... za nic w świecie!

— W takim razie, ja sama w łeb mu strzelę!

— Marcelo! Marcelo!... oszalałaś chyba!

Na ich twarzach, oświetlonych młym płomieniem lampy olejnej, wyczytać można było rozpacz wielką.

Nagle, oczy ich, utkwione w siebie wzajemnie, zamigotały wyrazem strasznego przerażenia. Zadygotali oboje, bo coś zaszeleściło w pobliżu...

To Kwiat-Nędzy powstał na nogi za firanką — Kwiat-Nędzy, który wszystkiego, co mówili, wysłuchał. Chłopak ocucił się przed kwadranssem, a teraz przez szparę niedociągniętych do siebie fałdów draperyj, wpatrywał się niemal nieruchomy i milczący w postaci kobiety i mężczyzny, stojące na środku pokoju. Widział już je kiedyś. Lecz gdzie? gdzie?... Nie pamięta.

Marcelina rozśmiała się pierwsza — dziwnym jakimś, bolesnym, nerwowym śmiechem.

— Wszystko... byle co nas przeraża... Ciało nasze, jak liście osiny, trzęsą się za łada wiatru powiewem...

— Bo sumienia mamy zamać aż do dna... bo na sumieniach naszych ciąży wyrok, skazujący Marcina Żarskiego na Sybir, oraz nieszczęścia całej jego rodziny, rozprószonej obecnie po świecie tak, że śladów jej odnaleźć nie podobna.

Janek zadrżał całym ciałem i uchwycił się firanki, żeby nie upaść.

— Naprawdę — mówił dalej Kazimierz — dopytywałem się wszędzie o dwie jego córki, Sabinę i Zosię. Nie otrzymałem nigdzie żadnej wskazówki, co z niemi stać się mogło. Co zaś do syna Żarskiego, słabowitego i wątłego dzieciaka, też sama panuje niewiadomość, równie w zarządzie policyj, jak w lokalach, zamieszkiwanych przez habkę, która także zaginęła. Chłopczyna znikł jak kamień, rzucony w rzekę; wszyscy przepadli... niewiadomo, gdzie ich szukać. Pewno znoszą straszną nędzę i poniewierkę.

O. d. n.